

O RÓŻNOŚCIACH

CZEŚĆ 22

Teatry. Dawniej to były teatry. Cudeńka na łonie przyrody ze wspaniałą akustyką. Wszystko można było doskonale zobaczyć i usłyszeć. Przednia rozrywka, której można było pozazdrościć Grekom i Rzymianom. Kto w niej uczestniczył? Teatry zbudowano niby dla każdego, ale liczba miejsc na kamiennych ławach była jednak ograniczona, więc wstęp mieli do nich raczej inteligentni, których w tamtych czasach nie brakowało. Z pewnością pozostała część społeczeństwa była z tego powodu niezadowolona i chciała mieć swoje widowiska, a raczej igrzyska. Żeby ich usatysfakcjonować, pobudowane zostały amfiteatry i w nich już poszli na całego, zaspokajając te bardziej pierwotne instynkty natury ludzkiej (krew lała się z zabijanych zwierząt i rozszarpywanych ludzi) przy oklaskach i wrzawie tłumu. Pominę stadiony, bo to raczej areny sportowe. Powoli człowiek brał rozbrat z przyrodą. Co tam jakieś drzewka i ptaszki przeszkadzające w oglądaniu spektakli? Postanowiono zamknąć widzów w środku. Tam już im nikt nie przeszkadzał. Mogli się skupić na grze aktorskiej i spoglądaniu na towarzyszące osoby. Aby jeszcze lepiej widzieć, przykładali do oczu lornetkę. Czasem ktoś chrząknął, zakaszał, kichnął. To takie ludzkie, więc wybaczano. Dzisiaj nie jest konieczne wychodzenie z domu. Do „teatru” możemy „wstąpić” w każdej chwili. Mamy go na wyciągnięcie ręki, również tej ze smartfonem. To już globalny teatr. A co dzisiaj nie jest globalne? Te w zamkniętych pomieszczeniach zachowują jeszcze pewne wartości. Te wszechświatowe, dostępne po paru kliknięciach, ruchach palców na ekranie, to już upadek, pogorszenie, zmierzch czegoś, co było kiedyś duchową strawą w najlepszym wydaniu. Obecnie też jest strawą, ale przypominającą papkowaty produkt. O ile mam rozeznanie, teatry zamknięte nie pękają w szwach. Te wszechświatowe też nie, ale liczba widzów jest nieporównywalna.

Nie każda zmiana czegokolwiek jest dobra. Weźmy na przykład ustroje państwowe. Tyle razy już się zmieniały i na ogół nie wychodziło to obywatelom na dobre. No, może niektórym tak, czyli tym, którzy objęli władzę. Albo zmiana piwa na 0% zawartości alkoholu. To żadne piwo. Ani upić się nim nie można, ani nawet nie zakręci się po nim w głowie, ani nie zaszu mi. Zmiana czasu u nas na pewno większej czy mniejszej części społeczeństwa przysporzyła kłopotów ze wstawaniem i kładzeniem się spać. A zamiana żony na kolejną to może i dobry pomysł, obarczony jednak wielkim ryzykiem. Komu się udało, ten wyszedł na prostą. Część jednak żałowała tego bardzo. Byli i tacy, którym tak się tego typu zmiany spodobały, że podmieniali swoje początkowo ukochane połowy jak rękawiczki. Z tego krótkiego przeglądu widać dobitnie, że wszelkie zmiany raz są dobre, a raz złe. W polityce ostatnich lat też różnie bywało, ale o tym nie ma co mleć ozorem, bo każdy i tak ma własne zdanie na jej temat.

Czy człowiek musi kłamać? Moim zdaniem musi. To jest cecha wyróżniająca go spośród pozostałych stworzeń ziemskich – faworyzująca go w pewnym sensie w przyrodzie. Oszukuje nie tylko inne zwierzęta, ale także swoich bliskich i dalekich. Być może też siebie. Gdyby

nie te właściwości, wielu by nie przeżyło, a na pewno nie miałyby po co żyć. Biadolenie, że gdyby jeszcze raz mieli się urodzić, tak by nie postępowali, jest dodatkowym wciskaniem kitu. To najwyraźniej ich sposób na życie. Jakies tam wyrzuty sumienia z powodu łgania mogą sobie między bajki włożyć. Nie tylko wtedy byli nie w porządku, ale takimi wyznaniem jedynie potwierdzają wcześniejsze zachowania. Ludzie plotą bzdury o żalach do swojej rodziny, konfliktach z nią, niespełnionych podróżach, wielu nietrafnych wyborach itp. To zwyczajna, klasyczna bujda. Wszystko było zaplanowane, ze świadomością podejmowane, a skoro się nie udało, winą obarcza się wszystkich dookoła. Refleksje te dotyczą zarówno młodych, jak i starych. Trudno powiedzieć, którym częściej się przytrafiają. Tacy, niestety, jesteśmy.

Dnia 13 marca 2025 roku doniesiono o decyzji Komisji Europejskiej. W Polsce powstanie Fabryka Sztucznej Inteligencji. W Unii są do tyłu. Przecież sztucznej inteligencji w Polsce jest nadmiar – i to od wielu lat. Tak powiało z Zachodu, że naturalna inteligencja zanika, a sztuczna już panoszy się na każdym kroku.

Gdyby Donaldowi Tuskowi wymknęło się: „kocham cię, Jarku, nade wszystko”, to wiadomo byłoby, o kogo chodzi. Gdyby zaś Jarosław Kaczyński wypowiedział niechcący: „kocham cię, Donaldzie, nade wszystko”, wielu miałyby twarde orzechy do zgryzienia. Którego miał na myśli?

Na krytykę można popatrzeć z różnych stron. Oto jedna z nich postrzegana przez władze. Oni myślą sobie tak: krytykują nas, gromadzą się na razie w konspiracji, ale trzeba reagować. Nie możemy być zbyt tolerancyjni. Poczynania naszych przeciwników mogą zwrócić się przeciwko nam. Zaraza może się rozprzestrzenić na wszystkich – i co wtedy z nami? Tolerowanie wieców i demonstracji nie może trwać wiecznie, bo skończy się dla nas katastrofą. Krytyka jest niebezpieczna. I tu następuje rozdźwięk wśród rządzących. Co bardziej przewidujący i troskliwi o swój los, o swoją przyszłość, rozwijają już zawczasu parasol ochronny nad sobą i nie pozwalają tzw. masom na nic. Przywódcy mas, zwani często wicherzycielami, niezależnie od systemu polityczno-gospodarczego, najpierw są pouczeni, a gdy nie chcą przystać na stawiane przez władzę warunki, lądują w miejscach krótszego bądź dłuższego przetrzymywania. Zdarza się – i zależy od „twardości” panujących wszystkim miłosiernie (a także i niemiłosiernie) – że znikają na dłużej, a czasami całkowicie. W innych systemach rządzący pozwalają łaskawie na różne rodzaje krytyki, ale trzymanej na tzw. pasku albo na obroży. Czyli coś tam możecie obejrzeć, nawet przewietrzyć usta, oby jednak miało to swoje granice. Granice, jak to granice, są do przekroczenia, ale niekoniecznie. Zatem krytykujący ich mniej lub bardziej pieklą się, wrzeszczą, jedni kulturalnie, inni mniej. Media komentują, pozwalają rozgadanyim internautom na uwagi pod adresem trzymających stery wszystkich szczebli władzy – i to jeszcze mieści się w słowie „tolerancja”. Ale gdy struny zostaną przeciągnięte, bywa gorzej i dla jednych, i dla drugich. Możecie nas krytykować w granicach rozsądku. Ha! Czyjego? Inny on jest „na górze”, a inny „na dole”.

Ptaszki, a jest ich przed moim balkonem kilkadziesiąt, „pracują” pełną parą, zaspokajając głód zwłaszcza rano (śniadanko jest ważne po zimnej nocy) i wieczorem (trzeba się napchać, żeby jakoś wytrzymać do rana). Gałęzie obwieszane są butelkami wypełnionymi czarnym słonecznikiem i pojemnikami ze słonecznikiem łuskany. Wiszą też połówki skorup kokosowych z tłuszczkiem, orzeszki ziemne w siatkach, słoninka, kulki w siatkach i w metalowej spirali. Największym wzięciem cieszą się orzechy ziemne wsypywane do $\frac{3}{4}$ łupiny kokosa, której

zawartość uzupełniam z balkonu, nie musząc wychodzić na dwór. Sikorki szaleją. Początkowo rozdrabniałem im orzechy, aby ułatwić przelot na forsycję i wiśnie. Po pewnym czasie stwierdziłem, że to niepotrzebne. Dają sobie doskonale radę. Mazurki i mniej liczne wróbelki oraz kosy przeczesują ziemię pokrytą resztkami jesiennych liści. Sójki są napalone na orzechy ziemne w osłonkach i bez. Okresowo przylatują m.in. dzięcioły, kawki, wrony siwe, raniuszki, rudziki, sroki, szczygły, kwiczoły. Te większe dostają fistaszki w osłonkach. Rzadkimi gośćmi są grzywacze. Nie miejsce tu na opisywanie ich zachowań szczegółowo. Notuję je w komputerowym pliku. Może uda mi się o nich opowiedzieć dokładniej, choć lepiej byłoby ten ptasi podwórzec oglądać, tak jak ja, z bliska.



Grzywacz

Jedni są w większości, a inni w mniejszości. Podam kilka przykładów.

Wierzący w Boga są w większości, a niewierzących w żadne bóstwa zdecydowana mniejszość.

Kłamczuszków spotyka się na każdym kroku, a prawdę mówiących ze świeczką szukać. Nielubiących gołębi jest znacznie więcej, a ich miłośników – co kot napłakał.

Chorzy są prawie wszyscy, a zdrowych jak na lekarstwo.

Skala grzeszących jest niebywała. Niegrzeszących prawie nie ma.

Będący na bakier z prawem są w zdecydowanej przewadze, a niełamiący go to prawdziwie rzadkie okazy.

Politykujący są niemal wszyscy, niepolitykujący – zmarginalizowani.

Głupich jest niemożliwie dużo, mądrzy przy nich to grupa na wymarcie.

Kradnących są tłumy (w mediach o nich się przelewa), uczciwi zdarzają się przypadkowo, niewiele o nich słyhać.

Bzdury gadasz – mówi często jeden drugiemu. W bzdurach się nurzamy. Bzdury nas się imają, nawet nie wiemy dlaczego. Sami łapiemy się na mówieniu bzdur. Gorzej jeśli nie

jesteśmy tego świadomi, a tak jest prawie zawsze. Chętnie obdzielamy takim powiedzeniem bliźnich, znajomych i obcych. Nie bardzo tolerujemy tych, którzy w podobny sposób zwracają się do nas.

Wlewy i wylewy ostatnio się rozpędziły, żeby nie powiedzieć „rozpuściły”. Odnoszą się zarówno do przyrody, jak i do ludzi. Czy są w jakiś sposób ze sobą powiązane? Chyba tak, bo na przykład co ma wlew do wylewu? Ano ma. Jak się za dużo wleje, to się trochę albo więcej wyleje. Ludzi straszą wylewami, a pocieszają wlewami. Jakbym chciał porównać na przykład wylewy rzek, to gdy już wystąpią, bo za dużo się do nich wody wlało i nastąpiła powódź, powoli wszystko wraca do normy. Czyli najpierw jest wlew, a potem następuje wylew. To rzecz oczywista. A z ludzkimi wylewami jest inaczej. Same do normy wracają rzadko, dlatego trzeba je wspomóc. Jak komuś coś tam się wyleje, zaraz proponują wlanie czegoś odpowiedniego, aby uzupełnić ubytek. Nie myślę o kroplówkach, bo bez nich dzisiaj nie da się żyć. Kroplówek potrzebujemy chyba wszyscy – do tego doszło. Wylewami nie tylko straszą, stały się one dosyć pospolite. Tylko żeby ktoś nie rozumiał tego słowa nieopatrnie, bo tak też może się zdarzyć. Zdarza się przecież, że niektórzy chcą innym wlać tak sobie, bez specjalnej potrzeby. Mnie chodzi o wlewy zwane dożylnymi. Ponoć pomagają. Aby uchronić się przed wylewami, liczne instytucje zajmują się wlewami – profilaktycznie. Jak gdzieś czytam, jest to całkiem niezły, dochodowy interes, niestety bez gwarancji polepszenia. Jak już komuś wleją, powinien czuć się lepiej. A tu na dwoje babka wróżyła. Natomiast w związku z tym drugim rozumieniem słowa „wlać”, czyli dołożyć, raczej ludzie lepiej się nie czują. To też nie takie pewne. Jak wrócą do siebie, jest im lepiej. Podobnie jak wspomniane rzeki wracają do normy, tak i oni w naturalny sposób również.

Już niedługo teren przy ulicy Murckowskiej stanie się największą dzielnicą Katowic. Dzielnicą dosyć specyficzną. Różni się ona od innych tym, że wszędzie Katowiczanie ubywa, a w niej przybywa. Mieszkańcy masowo wybierają to miejsce, bowiem pozostałe tego rodzaju „osiedla” są już w większości przepelnione. Żadna z nowo powstających nekropolii tej nie dorównuje. Niestety liczba „mieszkańców na stałe” nie jest podawana przez Zakład Cmentarzy Komunalnych – tak jakby nie potrafiono ich zliczyć. Na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie spoczywa ponad 75 tysięcy osób, na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie około 100 tysięcy, a przy ulicy Murckowskiej nie wiedzą, ilu zostało pochowanych od czasu jego założenia, czyli od 1984 roku. Liczyć nie potrafią?

Czytam, patrzę, słucham, oglądam. Za dużo wiedzieć jest niedobrze. W skrajnych przypadkach można stracić życie, a mówić, czego się chce, nie jest zbyt wskazane i jeszcze częściej może skończyć się tragicznie.

Bycie lepszym samo w sobie nie jest niczym złym, ale bycie lepszym niż ktoś inny? To więcej niż konkurencja. To zarzewie konfliktu. Patrząc od dołu. W związkach małżeńskich gdy mężczyzna się wywyższa, kobieta chce być od niego lepsza. Przykładów można przytoczyć aż nadto. A jeśli, dajmy na to, jakaś firma chce być lepsza niż inne, stara się je sprowadzić do parteru, a niekiedy wdeptać w ziemię. Tu nie ma zmiłowania. Z innej beczki: gdy jakiś partyjniak spotka się z partyjniakiem z drugiego, wrogiego obozu, dochodzi do scen gorszących bądź śmiesznych. Im wyżej, tym ostrzej. Pominąwszy kolejne szczeble „drabinki”, na samej „górze” robi się bardzo groźnie – niebezpiecznie. Z dołu nie wszystko widać, ale tam dzieją się niestworzone rzeczy. Prawie każdy ma o nich swoje zdanie, mimo że ledwo widzi z powodu oddalenia. Ja też. Kawa na ławę. Nawet jak się rozleje, to coś tam zostanie. Nie będę przelatywał przez całą historię, bo w niej wyżywają się zawodowcy, zwani historykami, oka-

zjonalnie histerykami. Uogólniając, ostatnimi czasy Amerykanie chcą być najlepsi, czyli lepsi niż inni. Inne kraje też chcą takimi być. Jakoś tak się porobiło, że nawet w drobnych sprawach wszyscy prą do bycia najlepszymi. Jednym się udaje, innym nie. Spór trwa. Chiny chcą być lepsze od Amerykanów. Rosja też. Indie kroczą nieco z tyłu. Może to zabrzmi śmiesznie, ale Korea Północna też chce być lepsza od tych najlepszych. Końca bycia lepszym od drugiego nie widać. Z ostatniej chwili. Żeby być najlepszymi, ciągle wymyślają różne sposoby ulepszania się. Na szczycie wspomnianej drabinki może być tylko jeden. Co inny chce się tam zmieścić, zaraz go zrzucają. Właśnie okładają się cłami. I to jakimi? Jak już, to z grubej rury. A jak im sił zabraknie, to wszystko, kolokwialnie mówiąc: pie...nie.

Trafiłem w sieci na pytania dotyczące kremacji. Na część z nich postaram się odpowiedzieć.

Czy duch cierpi podczas kremacji? Bardzo.

Czy ktoś obudził się podczas kremacji? Nie, jednak to nic pewnego.

Co dzieje się z duszą po kremacji? Wędruje w różne miejsca.

Czy Bóg zabrania kremacji? To pytanie do duchownych. Oni wiedzą o bogach wszystko.

Po jakim czasie od śmierci dusza idzie do nieba? W te pędy.

Czy zmarli odczuwają kremację? Tak. Jedni mniej, a inni bardziej.

Czy dusza poddana kremacji może pójść do nieba? Prosta odpowiedź. Może, ale nie musi.

Czy podczas kremacji człowiek siada? Nie. Leży jak długi.

Co czuje dusza podczas kremacji? Przyjemność z podgrzewania.

Czy kremacja wyklucza zmartwychwstanie? Tych, którzy potrafią się pozbierać tak, a pozostałych nie.

Czy kremacja jest grzechem? To zależy, kto i kogo kremuje.

Czy można obudzić się podczas kremacji? Nie, bo i po co. Z prochu powstałeś, więc i tak w proch się obrócisz.

Tak to już w życiu jest, że od małego zbiera się różne rzeczy: najpierw zabawki, potem masę innych dóbr, których nie zdołam wyliczyć, ale cały czas – grosz do grosza, dosłownie. Na starość bardziej się chomikuje, tak żeby nikt staruszkom nie ukradł. Ma się tyle niepotrzebnych rzeczy, że nie ma ich zwykle gdzie schować. Panie narzekają na nadmiar sukienek i innych ciuchów. Gdyby mogły, wszystko wzięłyby ze sobą do grobu, a więc siłą rzeczy do piekła, czyśćca lub nieba. Tylko czy w zaświatach z tyloma nagromadzonymi w ciągu wielu lat rzeczami Bóg albo diabeł chcieliby je przyjąć. Chętnie natomiast biorą wszystkich jak leci bez obciążających ich tobołów i walizek. Przyjmują z przyjemnością golasów, bez żadnych dodatków, którymi świat zaśmiecono ponad miarę. Co mają robić? To naturalny bieg życia. I nie to, żeby każdy pchał się tam z niczym. Trzeba jasno sobie powiedzieć, że większość z nas nabierała podczas żywota sporo paskudztw, zwanych też chorobami. Nie dała sobie z nimi rady. Na przejściu do krain szczęścia i nieszczęścia nie zarekwirovano ich, bo i po co.

Na władzę można popatrzeć różnie. Nikt chyba nie może zaprzeczyć, że jest jakby magnesem. Jednych odpycha, innych przyciąga. Chyba zdecydowanie więcej jest tych, których przyciąga. A kogo odpycha? No kogo? Tyle już na ten temat napisano. Nie czytam. Nic już nie dorzucę. Coś mi jednak wypada nakreślić. Niejeden powie: to już było od Ewy i Adama. Może tak. Kto rozstrzygnie, czy Ewa chciała rządzić Adamem, czy Adam Ewą? Czy coś ich przyciągało, czy raczej odpychało? Ten problem jest stary jak świat. Dotrwał do dzisiaj, a co gorsze albo lepsze – rozprzestrzenił się jak rak (ten od choroby) i w ciągu minionego czasu nie udało się go zlikwidować. Przecież teraz jeszcze w tej najmniejszej komórce rodzinnej toczy się batalia o to, kto rządzi. Tu nadal nie wiadomo: raz ona, a raz on. Tylko tzw. półkomórkowcy

mogą spać spokojnie. Nikt im się do niczego nie wtrąca. Gdyby tylko spróbowali poszerzyć rodzinę, dopadłaby ich choroba. Tak więc ludzie chorowali na władzę od zarania dziejów. Pisałem już o tej swego rodzaju niedyspozycji w części piętnastej, więc na tym skończę. Za dużo na moją głowę.

Czytanie między wierszami to umiejętność, która przychodzi po latach. Bywa, że uzyskane w ten sposób informacje są bardziej cenne niż te czytane wprost.

Mózgi pracują pełną parą. I te polityczne, i te medyczne, i prawnicze, i wiele innych. Jasne, że mózg mózgowi nierówny. Nieraz odczuwam, jak wielu innych, że nie dają rady. Nie idzie im za dobrze, więc do pomocy zaprzęгают automaty. Czy uprawnione jest stwierdzenie, że im więcej automatów, tym mniej mózgow? Nie jest ono bezsensowne, jakieś ziarno prawdy w nim tkwi, bo inaczej po co by je tworzyli? Niby logiczne – więcej jednych oznacza mniej drugich. W końcu mamy upragniony kapitalizm, z konkurencyjnością na czele. Tu mam pewne wątpliwości, bowiem każdy widzi, że im więcej bogatych, tym więcej biednych, a powinno być, że im więcej tych pierwszych, tym mniej tych drugich. Trzeba porzucić logikę. Nie każdą rzecz można nią wytłumaczyć, w szczególności w odniesieniu do człowieka. W przyrodzie wszystko wydaje się spójne, przejrzyste, poukładane, a w człowieku nie bardzo, niekiedy „całkiem nie bardzo”. Tym bardziej, im bardziej się od niej oddala. Teraz jeszcze przyspiesza. Konstruując sztuczną inteligencję, chciałby – tak mi się wydaje – wynaturzyć się, a może w ślad za tym zniszczyć całe środowisko przyrodnicze. Widać już pewne tego symptomy. Zobaczymy, kto będzie górą. Ja wiem, ale nie powiem, bo mnie automaty nie tylko zakraczą, ale i obsobaczą.

Gdy po czterdziestce stwierdzono u mnie nadciśnienie tętnicze i określono je jako samoistne bądź pierwotne, próbowałem dojść do tego, co te słowa znaczą. Żadna choroba nie może przecież powstać samoistnie, a do dzisiaj tak najczęściej nazywają wspomniane nadciśnienie. Wertowałem słowniki i niewiele zrozumiałem. Jeśli nadciśnienie jest chorobą, musiało mieć jakąś przyczynę. Nazywanie go pierwotnym jest dla mnie niezrozumiałe. Pierwotny może być człowiek. On jednak istniał. Nie wziął się z niczego. Kultury pierwotne też były. I też nie wzięły się z niczego. Nie będę podawał kolejnych przykładów. A więc i nadciśnienie z czegoś też się musiało wziąć. Czyżby wszyscy już je mieli od urodzenia, a dopiero po jakimś czasie wyszło ono „na wierzch”? Przecież na początku życia raczej nikt nadciśnienia nie miał. Stwierdzone zostało po latach. Musi być jakaś przyczyna jego powstania. To, że medycy nie potrafią jej odkryć, nie oznacza, że takowej nie ma. Synonimami raczej nie są, chociaż w różnych tekstach medycznych spotyka się je zamiennie. Zadziwiająco. Kardiologowie piszą przykładowo: „Nadciśnienie pierwotne, inaczej samoistne”. Według Słownika języka polskiego PWN samoistny to:

1. «istniejący lub powstały niezależnie od czegoś innego»;
2. «tworzący odrębną, niezwiązaną z niczym całość».

Jak te określenia łączyć z nadciśnieniem? Choroby mogą być określane np. jako rzadkie czy nietypowe. Moim zdaniem tak jak inne, liczne schorzenia są po prostu nierozpoznawalne, nieuchwytnie, ale zawsze muszą być skutkiem czegoś. Spowodowało je coś, czego nie znamy.

Tak sobie czytam, co mi wpada w oko – i w sieci, i w druku. Przeglądam, bo czytać się nie da albo nie mam na to czasu. Myślę, że jesteśmy już „zagadani na śmierć”, stąd nieustające sprzeczki, kłótnie, nieporozumienia. Tego jest za dużo. Wylewane na papier opinie, komentarze, uwagi i im podobne teksty bywają mądre (rzadko), takie sobie, a przeważnie są głupawe. Prawie wszyscy piszą i upychają swoje i nieswoje myśli, gdzie się da (media stały się w tym względzie pojemne jak nigdy dotąd). Mądre to czy niemądre – nie ma znaczenia. Czymś się trzeba zająć. I tak czas niepostrzeżenie leci każdemu do końca życia. Specjalnie

ludzie się nad nim nie zastanawiają, dopiero u jego schyłku oceniają, czy je zmarnowali, czy nie. To też nie ma żadnego znaczenia, również wtedy gdyby przeszli do tzw. historii, bo samo życie, takie czy inne, jest wartością unikatową i nikomu nic do tego, jak komu przeminęło.

Żeby nie być gołosłownym, podaję przykład z mojego podwórka, czyli maluteńkiego grajdołu światowego. My żyjemy pełnią życia, tzn. ja razem z Igą i Witkiem (koty), Myszą przyniesioną łaskawie przez Igę, no i z krętkami *Borrelia*, zasiedlonymi we mnie już chyba na stałe. Wieczorem kłębimy się wszyscy, bez Myszy (tego by jeszcze brakowało), przy komputerze. Witek, wytrawny informatyk, urzęduje przed klawiaturą, a Iga przeszkadza nam, depcząc po niej, co skutkuje zaburzeniami w plikach. Tego z Witkiem nie możemy tolerować i przeganiamy ją na lewo i prawo. Myszy też jest dobrze. Sądzę tak po apetycie. Wcina orzechy łaskowe i włoskie, a kupionego dla chomików pokarmu podobno naturalnego jeść nie chce. Wyrzuciłem. Towarzyszy nam muzyczka. Z kotami dyskutuję przez cały dzień, najbardziej intensywnie wieczorem, podczas lektury książki, traktowanej jako środek nasenny. Po co mam brać jakieś tam melatoniny i inne ohydztwa? Z Witkiem odbywa się codziennie na rozbudowanym wielopiętrowym drapaku, na którym mieściło się dawnymi czasy siedem kotów, musowa zabawa na sto dwa, a rano balanga. W styczniu niemal regularnie na balkon wpadał na jedzenie Nosal. Jakiś raczej wolno żyjący, spory niewykastrowany kocur z nosem w czarnej, wielkiej plamie. Na początku wyskakiwał z balkonu. Od kiedy pobił Witka, kilka razy nagadałem mu porządnie i zrozumiał, że najeść się może, ale nic więcej. Nie posłuchał i teraz pozwala sobie na wejście i okresowo na obchód mieszkania. O tym, jakie Iga przeżywa katusze, widząc go z drugiej strony szyby bądź w pokoju, można sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że sytuacja się uspokoi. Powoli nadchodzi Wiosna, zrobiło się cieplej. Przyroda budzi się do życia, a my z nią. Trzeba to wykorzystać, bo niewiele już wiosen przed nami.



Iga z Witkiem



Nosal



Funkia

Kiedy kółka oczarowały ludzi? Podobno już w IV tysiącleciu p.n.e. w Mezopotamii. Nie będę jednak „przelatywał” przez kolejne epoki, lecz skoncentruję się na obecnej. Dotknę wyłącznie czterech kółek, choć tych pojedynczych, podwójnych i innych było i jest zatrzęsienie. Co to są „cztery kółka” – z grubsza wiadomo. Czym jest czar – tym też nie będę sobie zawracał głowy. Oba te pojęcia połączyły się ze sobą chyba już bez reszty. Do ich wzmocnienia doszło stosunkowo niedawno, jakieś 140 lat temu. Chodzi oczywiście o samochody. To właśnie one oczarowały ludzkość. Teraz jednak przyjrzę się ich zupełnie innemu oddziaływaniu na człowieka – takiemu, które z urodą i wdziękiem ma niewiele wspólnego. Przyznam, że magią jako taką się nie interesuję. Być może dlatego i ta związana z motoryzacją pozostała do dzisiaj poza moim zasięgiem – zresztą z wielu innych powodów, nie tylko tych „magicznych”.

Jest zima. Licha, bo licha, ale jest. Idę ulicą i czuję smród. Mam już na tyle doświadczenia, że wiem, skąd pochodzi: z rur. Rur wydechowych, które dają o sobie znać, rozwiewając charakterystyczne „zapachy” prosto na przechodniów. Ci niewiele mogą na to poradzić. W powietrzu latać nie będą, więc korzystają z chodników. Nie wiem, jak długo jeszcze, bo na nie wkroczyła już konkurencja: rowery i hulajnogi (te przynajmniej nie smrodzą). Samochody też od czasu do czasu się tam pchają. Nie wiem, czym „rurarze” chcą nam zaimponować, bo chyba nie tym, co mają przyczepione z tyłu. Z tyłami bywa różnie – w jednych przypadkach mówi się o nich mniej, w innych więcej. Właśnie te tyły dają o sobie znać najbardziej. Same może nie są tak widoczne, schowane pod blachą, ale objawiają się pod postacią rozmaitych barw dymków. „Zauraczają” one zarówno ekologów, jak i dziennikarzy witryn poświęconych smogowi, którzy skrzętnie wyliczają, w ilu procentach zanieczyszczają one środowisko. Czar czterech kółek nie ogranicza się jednak do kolorowych wyziewów. Od czasu do czasu można zauważyć stojące na poboczu auta i kręcących się wokół nich kierowców oraz znanych wszystkim panów – a ostatnio i panie – w czarnych uniformach i czasami w żółtych kamizelkach. Z czarami tego typu zdarzenia mają niewiele wspólnego. Zostawmy je więc i przejdźmy z zatłoczonych terenów w te mniej ruchliwe (choć nie zawsze). Z obu stron drogi lasy, a środkiem pędzą „cztery kółka”. Pędzą, ile wlezie, a nocami świecą, aby widzieć, dokąd gonią – choć co do tego można mieć wątpliwości. Z lewej i prawej na drogę wychodzą liczni mieszkańcy naturalnych zbiorowisk roślinnych, które zostały przecięte najpierw wąskimi, a teraz szerokimi pasmami asfaltu. Oni w żadnym stopniu nie są oczarowani autami. Zresztą z wzajemnością. Jedni wpadają na drugich, czyniąc sobie krzywdę. Krzywdząc czteronożnych, dwunożne stworzenia specjalnie się tym nie przejmują. Gdy jednak dwunożny zahaczy podobnego sobie, zaczyna się jatka, zanim jeszcze pojawią się mundurowi. W zależności od wielkości i pojemności oblauchowanych czterech kółek trup ściele się gęsto. Cóż, mieli pecha i jedni, i drudzy. Choć częściej ci „nieoblauchowani”. Gdyby akurat w tym miejscu i o tej godzinie się nie znaleźli, mieliby jeszcze sposobność przez jakiś czas pooglądać dziwy tego świata. A tak – koniec.

Ja też kończę ten przydługi, niedokończony akapit. Bo przecież tak jak rozmowy bywają często przerwane w pół słowa, również czar czterech kółek od czasu do czasu po prostu przyska.

Piszą tu i ówdzie, że medycyna była w błędzie i że również dzisiaj bywa omylna. Moim zdaniem to nie medycyna popełniała i popełnia błędy, jak niektórzy chcieliby ją obwiniać, a medycy, czyli ci, którzy ją uprawiają. Podam przykład Ancela Keysa. To on popełnił błąd, który do dzisiaj skutkuje wytycznymi żywieniowymi. Najdziwniejsze jest to, że w głowach wielu lekarzy szkodliwość tłuszczów i cholesterolu tak się zakorzeniła, że nie może ich opuścić. Czy to medycyna jest winna? Nie. To naukowcy się mylą, często przekonani o swojej nieomylności. Można to porównać z infekcjami, w tym wypadku przewlekłymi, wszelkimi teoriami, a raczej przypuszczeniami o zdrowym odżywianiu i stylu życia. Wypominają je swoim dzisiejszym i tym sprzed lat kolegom po fachu, a sami częstokroć błędzą w jeszcze większym stopniu.

Geny. Lubimy te lepsze, a nie bardzo te gorsze. Które są lepsze, a które gorsze, to tylko potrafią rozstrzygnąć znawcy. Już dosyć dawno „weszli” w te geny i je „patroszą”. Dosyć długo to trwa.

„Witaminiarze” i „mineralnicy” jadą ostro z tym koksem. Złapali wiatr w żagle. Internet do nich należy. Grupa ta, jeszcze w XX wieku niewielka, rozmnożyła się w tym stuleciu prawie jak wirusy i bakterie.

Globalna sieć internetowa jest zarzucona niezliczonymi tytułami książek, o artykułach nie wspominam, dotyczącymi zdrowego odżywiania. Jedni autorzy przebijają drugich sensacyjnymi tytułami. To uczeni akademicy, znawcy wszystkiego, co człowiek wciąga do swojego brzucha. To również praktycy dzielący się swoimi doświadczeniami po spożyciu zalecanych i niezalecanych produktów z różnymi dodatkami. To również zwykli medycy i dietetycy piszący, moim zdaniem, zbyt wiele. To także amatorzy, którzy nie chcą być gorsi niż ci wymienieni. To blogerzy wspinający się po drabinie wiedzy, jak dotąd pośredniczący w przekazywaniu, czasami dosłownym, tego, co inni wymyślili bądź odkryli i z czym podzielili się na stronach internetowych. To również recenzenci, komentatorzy, internauci i wielu innych zachwycających się wzajemnie bezkrytycznie, obserwujący najczęściej youtuberów, którzy nie mogąc się oprzeć niebywałej popularności, gadają zazwyczaj od rzeczy. Wstępna lektura części publikacji, na jakie mogłem przeznaczyć wolny czas, powala z jednej strony i rozdwaja z drugiej. Doprawdy nie wiem, co o propozycjach żywieniowych sądzić. Roślinożercy biją w tłustożerców i mięsożerców. Mieszający wszystko, tzw. wszystkożercy, pochowali się ze wstydu – bo co mają mówić? Stanąć po stronie jednej z nich nie mogą, więc nieśmiało milczą. Niektórzy, szczególnie młodzi, są zupełnie rozproszeni. Chcą spróbować prawie wszystkich diet – wobec tak wielkiej ich podaży. Trochę tej, trochę tamtej, nie mogąc się ostatecznie zdecydować, którą wybrać. Starsi jedzą po swojemu, jak drzewiej bywało, i na nic nie zważają. Wiedzą swoje, a jak nie, to im medyk zaordynuje, co przyjmują z pokorą. Najedli się już wystarczająco dużo i tak jak ubierają się po staremu, tak i jedzą po dawnemu. Na modne wysoki otumanionych dzieci i wnuków nie mają już czasu. Co mogli, już spróbowali, nie tylko jeśli chodzi o papu.

Są ludzie lubiący ciągle coś w życiu zmieniać i tacy, którzy nie lubią prawie niczego korygować. Wydaje mi się, że w tych przeobrażeniach przodują panie. Na przykład codziennie chodzą inaczej ubrane. Raz ubiorą taką sukienkę, następnego dnia inną, jednego dnia nałożą ulubiony płaszcz, a drugiego już w nim nie wyjdą. Jeszcze innym razem wciągną nowe butki, bo stały się właśnie modne albo tak im akurat się zachciało. Ukuło się nawet powiedzenie, że kobieta zmienną jest. Wyjaśnienie, dlaczego taką jest, wymagałoby napisania opasłego tomu. Nie mam takich aspiracji, ale z racji swojego wykształcenia mogę tylko potwierdzić, że już tysiące lat temu kobiety miały słabość do ustawicznego zastępowania wszystkiego, co nosiły na sobie i co wpływało na ich wygląd, czymś innym. Chyba już wtedy chciały być modne, szczególnie jeśli chodziło o tzw. ostatni krzyk mody. Na modzie się nie znam, ale tak jak ją widzę i znam panie (kto je tak naprawdę zna), to jedna od drugiej chciała się odróżnić, a nie wyglądać tak samo. To też niezupełnie tak, bo są takie, które właśnie chcą wyglądać tak samo jak inne. I są też takie, które przebierają się nie dla innych, tylko dla siebie. Nie rozdrabniajmy się. Częściej panie wolą się różnić od innych. Gdyby któraś zobaczyła idącą naprzeciw tak samo ubraną kobietę, sytuacja mogłaby wymknąć się spod kontroli i przerodzić w bójkę przy użyciu, o zgrozo, dopiero co kupionych dodatków na przykład ulubionych torebek.

Od czasu do czasu słyszę o zgonie znanej lekarki lub lekarza. O dietetyczkach nie. Jakoś nie wpadają mi ani w oko, ani w ucho. Domyślam się dlaczego. Dlatego, że jeszcze są młode,

nie osiągnęły odpowiedniego wieku. Z pewnością dorosną. Czy lekarze chodzą do lekarzy – i co ważne: do koleżanek bądź kolegów po fachu, do zaufanych starszych bądź młodszych specjalistów, czy też leczą się sami? Jakoś swoimi chorobami ani samouzdrawianiem się nie chwala. Wolą pisać o chorobach swoich pacjentów. Jednak i oni staną się prędzej czy później pacjentami. A może nie chorują i umierają nagle? Być może choroby przewlekłe się ich nie imają, bo np. zdrowo się odżywiali? A może boją się pobytów w szpitalach z obawy przed złapaniem jakiejś groźnej bakterii? Pytań mam wiele.

W marcowe wieczory zdarzyło mi się dwa razy tak ugotować jajko, że gdy w rondelku po kilkunastu minutach wrzenia wody już zabrakło, usłyszałem z kuchni trzask. Mam minutnik, ale często zapominam go włączyć. Poczulem lekką spaleniznę. Poszedłem do kuchni. Jajko od zielononózki pękło. Za pierwszym razem udało mi się garnuszek jako tako wyczyścić. Parę dni później znowu zapomniałem o włączeniu czasomierza i po kilkunastu minutach usłyszałem znany mi sprzed kilku dni odgłos, jakby strzał, z kuchni. Tym razem jajo zostało wyrzucone z hukiem na podłogę, rozbijając się całkowicie. Wody oczywiście zabrakło, a rondel, używany już ponad dwadzieścia lat wyłącznie do gotowania jaj, syczał podczas nalewania do niego wody. Wyglądał okropnie, w zasadzie powinienem go wyrzucić. Żał mi było. Wziąłem się za intensywne szorowanie. Ponownie nalałem wody, włożyłem jajko, włączyłem gaz i nie wróciłem do pokoju z obawy przed usłyszeniem kolejnego trzaśnięcia. Jakimś cudem rondel jeszcze się trzyma i nie pozbywam się go. To porządny, PRL-owski produkt.

Prawnicy wynajdują ciągle nowe paragrafy, lekarze choroby, politycy mnożą konflikty i wojny, a duchowni religie. Te cztery zawody mają decydujący wpływ na nasze życie. O nich najchętniej piszę. Reszta pozostaje daleko w tyle. Nawet wojskowi stoją w dalszym szeregu, bo są m.in. właśnie im podporządkowani.

Żegluję po globalnej sieci niemal każdego dnia. Jako bardzo dojrzały staruszek nie mogę już w inny sposób żeglować, ale na taki sposób mogę sobie pozwolić. Gdy tak żegluję, wyobrażam sobie, że fale niosą mnie po morzach, a nawet po bezkresnych oceanach. I to jakich! Pomijam te mniejsze i wpływam zaraz na największy. Moim zdaniem to „ocean zdrowia”. W nim „pływa” wszystko, co się ze zdrowiem łączy, mniej lub bardziej. Po wpłynięciu na początku nie było specjalnie ciekawie, ale jak wypłynąłem na szersze wody, to się zaczęło. Żeglowali wszyscy: młodzi i starzy, panie i panowie, zdrowi i chorzy, biedni i bogaci. I nowonarodzonych już trochę było. Dopiero co poczętych nie widziałem, co zrozumiałe, ale zapewne też już z mamami lekko dryfowali. Oceany istniały od prapoczątków, ale czy wtedy były oceanami zdrowia? Raczej nie. Na dobre stały się nimi dopiero w ostatnich latach, a ściślej w XXI wieku. Co się wydarzyło? Do tej pory było w miarę znośnie i cicho, a dzisiaj wszystkie wzburzone. Co spowodowało naruszenie dotychczasowego spokoju? Współcześnie na nieogarnionej toni oceanu co chwilę pojawiają się wysokie fale, bałwan goni bałwana, a wiatry wzmagają się, przechodząc w huragany. To m.in. cukrzycowe „uniesienia”, bakterie na samych czubkach fal zderzające się z grzywaczami koronawirusowymi. Uwagę zwracają również fale z lipidogramami, groźnie piętzącymi się na ich wierzchołkach. Nie da się z nimi walczyć. Trzeba przeczekać, aż osłabną. Niestety, fala falę goni. Gdy jedno cyklony słabną, formują się tajfuny z nowotworami złośliwymi na szczytach, a na sąsiednich, trochę mniejszych lub większych czubkach, unoszą się udary, wylewy i zawały. Wyglądem przypomina to wszystko tsunami. Kto je wywołał? My sami. Zmęczyłem się porządnie po takiej żegludze na oceanie zdrowia. Moim marzeniem jest dopłynąć do najbliższego, zacisznego portu. Wyłączam globalną sieć i idę spać.

Dawniej życie było prostsze. Dawniej, tzn. jeszcze stosunkowo niedawno, gdy nie było tylu mediów. Internet skomplikował życie najbardziej. To, co po jego wpływie ludzie wyprawiają, przechodzi wszelkie granice. Najbardziej pasuje tu słowo „armagedon”, na które powołują się nieustannie dziennikarze, gdy temperatura zejdzie niewiele poniżej zera. Ogólnie mówiąc, jest ono nadużywane. Kiedy ma przykładowo spaść 5 cm śniegu, to już wielki krzyk, że zbliża się armagedon. Za moich szkolnych lat napadało często 50 cm i w ten sposób tego zjawiska nie nazywano. Natomiast na 100% mogę powiedzieć, że panosząca się globalna sieć to armagedon. Udowodnić musiałbym długo, a większości bym i tak nie przekonał. Kto dzisiaj przekona większość? Nie będę więc zadawał sobie trudu i wyliczał internetowych szkliwości. Tyle się ich pojawiło, że prawie nikt z nich nie chce zrezygnować. Nie namawiam. Nie tacy jak ja namawiali i nadal namawiają na przykład do niepalenia tytoniu, niepicia alkoholu i rezygnacji z tysięcy innych niezdrowych, niebezpiecznych czy destrukcyjnych zachowań – i nic. Nastolatki chodzące po ulicach z papierosami to już wysyp. Nie będę więc ja w tej sprawie języka strzępił. Internet to co innego. Ktoś powie, że można w nim znaleźć tyle dobrych rzeczy. Zgoda, ale złych znacznie więcej. Z tymi wierzącymi w cokolwiek inaczej niż ja nie będę się siłował. To nic nie da. Różnice są tak duże jak między Donaldem Tuskiem a Karolem Nawrockim.

Po co przedłużać i tak już długie życie człowieka? Nawet wszechobecni eksperci nie potrafią uratować wielu ludzi w młodym wieku – by nie powiedzieć: dzieci, a nawet noworodków – a chcą przedłużać egzystencję ledwo żyjącym, schorowanym staruszkom. Ci, którzy przekroczyli przynajmniej osiemdziesiątkę, uchowali się i stanowią zaledwie około 2% światowej populacji, mają na ogół dość życia. Trapieni chorobami i obciążeni poglądami wynikającymi z trudnych osobistych doświadczeń nienajlepiej mówią o swoich pobratymcach. Żyją wspomnieniami, a tym, co będzie, specjalnie się nie martwią. To, co najlepsze, już było i minęło. Może być tylko gorzej.

Może istnieje wśród nich niewielka grupka entuzjastów i marzycieli przymierzających się jeszcze do bicia rekordów, jakich świat nie widział. Gdy stuknęła im setka, chcieliby dobić do stu dwudziestu, a nawet taki wynik by ich nie satysfakcjonował. Oto moje przekonanie o bezsensowności takich działań. Pomagają im w tym uczeni – również entuzjaści – zapewniający, że szansa, by „pociągnąć” nieco dłużej, jest duża. Człowiek już wystarczająco napsuł krwi innym, więc dalsze jej psucie nikomu nie jest potrzebne. Wojny, które wywoływał, toczyły się za sprawą chorych umysłów. Człowiek był i jest jedynym stworzeniem na Ziemi, które nie tylko zaburzyło wszelką równowagę w przyrodzie, ale wręcz niszczy ją od momentu swojego pojawienia się. Komu taki osobnik jest potrzebny?

Badania ukierunkowane na przedłużanie życia służą zapewne zaspokojeniu ciekawości nie-licznej grupy naukowców. Ich wątpliwa wytrwałość sprawia, że zamiast wyteńczyć umysły, by ratować ludzi młodych, starają się przedłużyć egzystencję zniedołężniałym. Po co? Komu długowieczność jest potrzebna i jakie miałyby być jej praktyczne zastosowanie? Czyżby naukowcy wzorowali się na artystach i ich idei „sztuki dla sztuki”, tworząc „naukę dla nauki”? Czy tzw. sensowne istnienie polega na odciąganiu starych ludzi od grobu w imię wątpliwej jakości badań? Czy ktoś pytał tych nieszczęsnych staruszków o zgodę na tę poniewierkę?

Badania nad długowiecznością, a nawet nieśmiertelnością, trwają od dawna i generują spore koszty, a spektakularnych osiągnięć w tej mierze nie widać. Osobom religijnym wystarczy wiara w życie pozagrobowe. Niech lepiej tam szukają prolongaty życia doczesnego – to nikomu nie wadzi. Według mnie to wszystko mrzonki i marzenia, które towarzyszą człowiekowi od zarania dziejów. Przyrody on i tak nie ujarzmi, choćby najusilniej do tego dążył. Nie ma na to najmniejszych szans, brakuje mu zbyt wiele. Swoją wiedzę przekuł raczej w skutki katastrofalne dla całej planety. Pomimo niewątpliwie wielu osiągnięć technicznych nie jest w stanie jej realnie „naprawić”, a jedynie podcina gałąź, na której siedzi.

Starzenie się komórek ludzkich jest nieuchronne i prowadzi do ich obumarcia. Człowiek nic na to nie poradzi – zegar biologiczny tyka. Nie wspomnę o genetyce, w której nieustannie „grzebią”, co rusz podważając zmieniające się na jej temat poglądy. Tak mocno zaangażowali się w propagowanie zdrowego odżywiania, mającego rzekomo decydujący wpływ na życie, że już nikt nie wie, o co im chodzi. Teorie gonią teorie, a końca tego wyścigu nie widać. Z tego, co słyszę i widzę, ludzkość podtruwa się masowo, mamiona zaleceniami, o których ordynujący je na ogół nie mają zielonego pojęcia. W efekcie będziemy żyli coraz krócej, a nie – jak chcieliby niektórzy – dłużej. Miliony publikacji do niczego na razie nie doprowadziły i są jedynie złudzeniem przeciwstarzeniowych wysiłków badawczych. Rozliczne skomplikowane procesy biologiczne skutecznie bronią się przed ich rozwiązaniem.

Historia ludzkości to m.in. nieustające wysiłki mające na celu odpychanie tego, co nieuchronne. Symbolizują to egipskie mumie, a dzisiaj – zamrażanie ludzi z myślą o powrocie na łono natury. Natury, która przecież wzięła ich w swoje objęcia w odpowiednim czasie. Do niektórych elementów tej przydługawej wypowiedzi będę jeszcze wracał. Jako trzydziesto- czy czterdziestolatek specjalnie nie interesowałem się starością. Ważniejsze były inne sprawy. Teraz jest inaczej. Mam czas na dumanie – jak sądzę, bezproduktywne – ale co mi tam? „Starzeć się trzeba godnie” – mawiają niektórzy. Też mi gadanie.

Wiele spraw nurtuje ludzi od starożytności, jeśli nie od początku stworzenia. W zasadzie można powiedzieć, że prawie wszystko. I tak się w tym nurtowaniu zapamiętali, że nie potrafią już zrobić kroku w tył. Nurtują i nurtują. Jak długo można? Przykładem są choćby filozofowie. Obecni rozgryzają to, co inni już wcześniej „zgrzyli” niemal na miazgę. Mielą i mielą bez ustanku. Jednym z wątków najbardziej spędzających im sen z powiek jest „wolność”. Mój japoński młynek nie potrafi tak zmielić kawy jak miliony filozofów „zmieliło” wolność. Ciągłe wpadają mi w oczy teksty na ten temat. Nie chcąc pozostać w tyle, „miele” wolność ponownie. To, co frapowało starożytnych, nadal dręczy dzisiejszych mędrców. Ciągłe zagłębiają się w myślach, zapominając, że inni poświęcili temu całe życie. I wciąż jedni widzą ją tak, a drudzy inaczej. Jednemu nie zdołali podolać: połączeniu teorii wolności z jej praktycznym zastosowaniem. Teorię rozpracowali już dawno, choć niektórzy ciągle coś w niej poprawiają, a wolność rzeczywista jaka była, taka jest. Nic się na to nie poradzi. Jak długo jeszcze ludzie będą się dręczyć pisaniem o wolności? Stali się jej niewolnikami. Czas, a więc i życie, upływa raz z nią, a raz obok niej. Jak komu i kiedy pisane. I tak już pozostanie do końca istnienia ludzkości i wolności. Nie filozofuję, chcę tylko cokolwiek z tej gmatwaniny zrozumieć. Nie daję rady. Może to i dobrze.

Napisał zimą 2026 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2026 by Eugeniusz Tomczak